

A.P. MIST

Stormhaven



*W
M*

A.P. MIST

Stormhaven



Copyright © by A.P. MIST
Copyright © by Moje Wydawnictwo
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

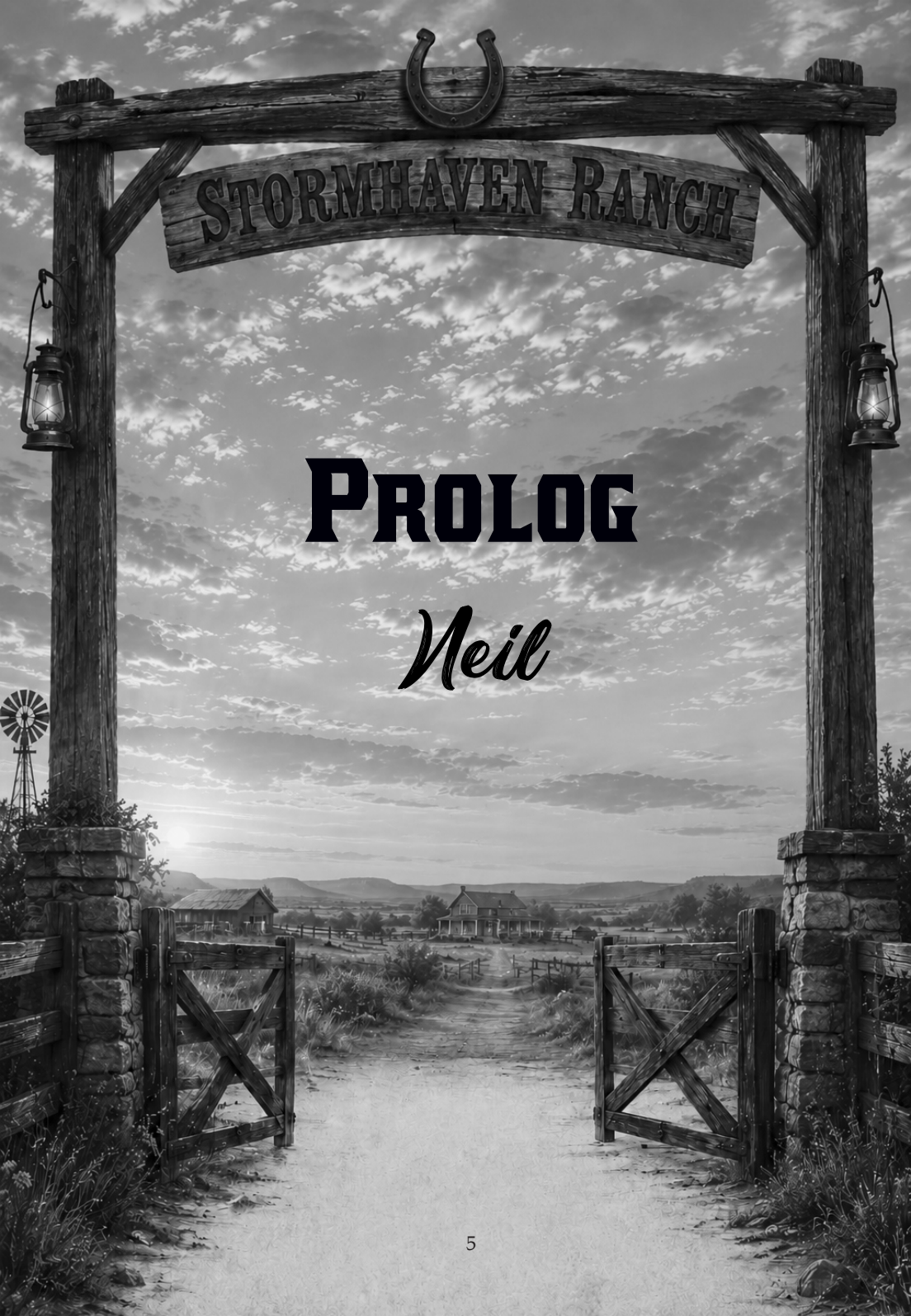
Redakcja: Barbara Wrona (tekstnanowo.pl)
Korekta: Agnieszka Liszowska
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer
Projekt graficzny książki: K&K Designer
Fotografia na okładce: Shutterstock.com
Pomysł na okładkę: Moje wydawnictwo

ISBN Papier: 978-83-68837-16-2
ISBN Ebook: 978-83-68837-17-9
ISBN Audio: 978-83-68837-18-6



Moje Wydawnictwo

- 🌐 www.mojewydawnictwo.pl
- ✉ wspolpraca@mojewydawnictwo.pl
- 📷 [mojewydawnictwo](https://www.instagram.com/mojewydawnictwo)
- 📺 [mojewydawnictwo](https://www.youtube.com/mojewydawnictwo)
- 🎵 [moje.wydawnictwo](https://www.spotify.com/mojewydawnictwo)
- 📘 [mojewydawnictwo](https://www.facebook.com/mojewydawnictwo)



PROLOG

Neil

Dławiący, gęsty dym wdzierał się do moich płuc jak trucizna. Walczyłem o każdy oddech, ale powietrze zdawało się ciąć moje gardło.

Czułem, jak adrenalina przetacza się przez moje żyły, boleśnie napinając każdy mięsień. Ogień, niczym dziki potwór, szalał wokół, zionąc płomieniami, i wdzierał się w każdą szczelinę, zamieniając drewniane belki i ściany w płonący chaos. Wybuchł z niespodziewaną siłą, cała stajnia była już zajęta gorącem, a palący się dach sypał się na ziemię, ogłuszając nas swoim trzaskiem. Zwierzęta rżały w panice. Musiałem je wypuścić. Każde żywe stworzenie było dla mnie ważne i nie mogłem pozwolić im zginąć w tym piekle.

Świat, który znałem, rozpadał się na kawałki w ogniu i dymie, który gęstniał z każdą sekundą.

Gdy biegaliśmy z jednego boksu do drugiego, czułem, jak żar przeszywa mi skórę, a dym paraliżuje moje zmysły. Tata krzyczał, wskazując drogę, a ja słuchałem jego poleceń, choć każdy krok wydawał się desperacką próbą przekroczenia granicy między życiem a śmiercią.

– Neil, pospiesz się! – usłyszałem krzyk ojca.

Czas się kończył, a w stajni wciąż były konie, które musiałem uratować.

Biegłem przez wypełniony dymem budynek, a panika rozprzestrzeniała się w moich żyłach. Zwierzęta były przerażone, ja też, ale starałem się nieść im ratunek, chociaż wiedziałem, że wszystko dzieje się zbyt szybko. Wydawało się, że w tym piekle czas płynął szybciej, a ja byłem tylko małym punktem w nieustannym ogniu. Kolejny koń. Jeszcze jeden.

– Chodź, szybko! – krzyknąłem do ostatniego, który szarpał się w swoim boksie. Złapałem go za kantar i pociągnąłem. – Szybko, szybko... – powtarzałem jak mantrę, starając się uspokoić zwierzę, mimo że i ja ze strachu byłem bliski paraliżu.

Moje ciało było zmęczone, nie czułem już nóg, a powietrze, którym oddychałem, paliło mi płuca. Z czoła spływał mi pot, oddech stawał się coraz cięższy, a w uszach szumiało.

Gdy w końcu udało mi się wypuścić ostatniego konia i wybiegł na zewnątrz, poczułem przypływ nadziei. Myślałem, że już nic nie może pójść źle.

Nie zdążyłem się nawet odwrócić, kiedy usłyszałem głośny trzask. Belka spadła na mnie z ogromną siłą, miażdżąc moje ciało. Powietrze z moich płuc zostało brutalnie wyrwane przez siłę uderzenia. Nie miałem siły się ruszyć. Chciałem krzyczeć, ale dym oblepił moje gardło niczym gęsta smoła.

W tych ostatnich chwilach, kiedy ciemność wdzierала się w moje oczy, słyszałem tylko rozmyty krzyk taty. Jego głos, pełen determinacji i rozpaczyny jednocześnie, zdawał się wołać o ratunek, o jeszcze jedną szansę.

Nie pamiętałem, jak długo trwała walka z losem, ale zanim wszystko pogrążyło się w całkowitej ciemności, w mojej głowie rozbrzmiała myśl, że nie zdołałem uratować wszystkich. Zabrakło mi szczęścia, by uratować... siebie.

Ból, który przenikał moje ciało, nie pozwalał nawet na otwarcie oczu. Byłem zamrożony w jednej pozycji, nie wiedziałem, co się tutaj wydarzyło ani gdzie się znajdowałem. Powoli, z ogromnym trudem rozchyliłem powieki. Od razu ujrzałem drobną, drżącą sylwetkę. Moją siostrę. Miała czerwone od płaczu oczy – widziałem to, choć obraz miałem zamazany. Trzymała delikatnie moją dłoń.

– Neil... Boże, tak się bałam... – wyszeptała.

Chciałem się podnieść, ale mnie powstrzymała.

– Nie ruszaj się, braciszku.

– Tata... – wydusiłem z wysiłkiem. – Co z nim?

Jej twarz stężała. Pokręciła powoli głową, a po jej policzkach spłynęły łzy.

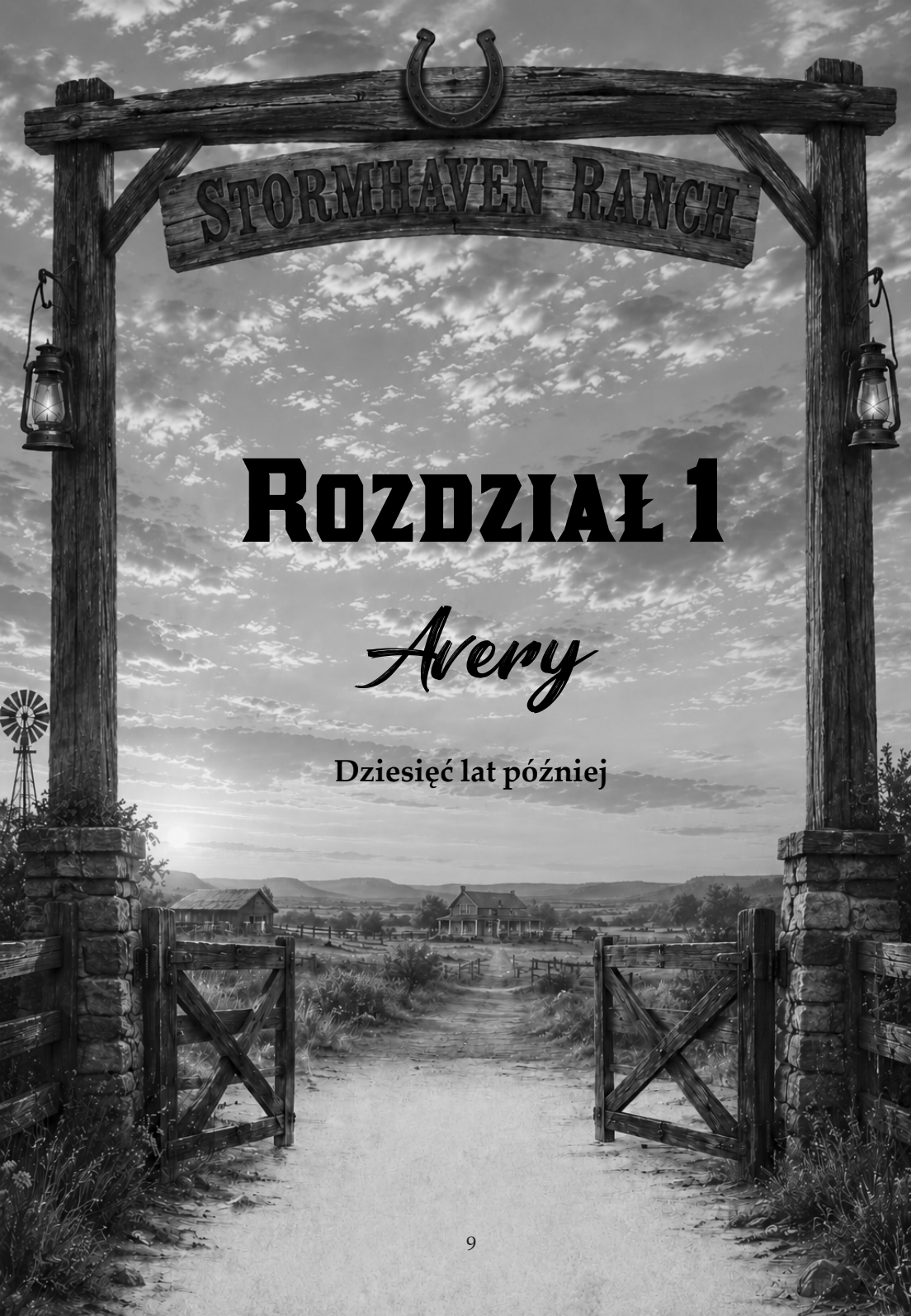
– To moja wina – szepnąłem ze ściśniętym, obolałym gardłem.

Ella położyła dłoń na moim ramieniu, może chcąc dodać mi otuchy. Nie działało.

Zacisnąłem powieki, próbując opanować łzy, które cisnęły się do oczu. Miałem wrażenie, że umieram z wybuchającego w piersi żalu. Nie chciałem, by była tego świadkiem.

Ból rozlał się po całym moim ciele. Nie fizyczny, lecz ten, który
rodził się głęboko w sercu. Zdałem sobie sprawę, że życie nie bę-
dzie już takie samo, że i ja umieram.

Tak jak umiera nadzieja.

A black and white photograph of a rustic wooden archway entrance to a ranch. The archway is made of weathered wood and has a horseshoe mounted on top. A wooden sign with the words "STORMHAVEN RANCH" is hanging from the arch. Two lanterns are hanging from the sides of the arch. The entrance leads to a dirt road that goes through a field towards a large house and a windmill in the background. The sky is cloudy.

STORMHAVEN RANCH

ROZDZIAŁ 1

Avery

Dziesięć lat później

Oparłam łokcie o zimną ladę i zerkalam na kucharza, który z miną pełną skupienia podrzucał coś na patelni. Aromat smażonego mięsa mieszał się w powietrzu z zapachem świeżo pieczonego chleba, a ja, czując, jak burczy mi w brzuchu, wyciągnęłam rękę po frytkę z porcji stojącej na blacie.

– Avery, odłóż to – rzucił Phil bez odwracania się. W jego głosie nie było ani grama groźby.

– Ale to tylko jedna frytka! – zaprotestowałam, chowając ją za plecami jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

– Tak, tak, a potem „tylko jedna” zamienia się w połowę porcji – mruknął, potrząsając głową. – Głodna jesteś, to sobie zamów.

– A skąd wiesz, że nie zamówiłam? Może to moje?

Phil rzucił mi krótkie, sceptyczne spojrzenie, po czym wrócił do swojego zajęcia.

– Bo widziałem zamówienie i nie było tam twojego imienia.

Parsknęłam śmiechem, usiadłam na wysokim stołku przy ladzie i zaczęłam kołysać nogami w powietrzu. W barze nie było wielu klientów, ale odgłosy cichych rozmów i brzęczenie radia nadawały temu miejscu niepowtarzalnego klimatu. Lubiłam tu być. Nawet jeśli była to tylko praca, w której czasem denerwowałam się na szefa twierdzącego, że za dużo gadam.

– Dobra, dobra, już nie marudź – westchnęłam, udając obrażoną. – I tak mnie uwielbiasz.

– Jasne, uwielbiam. – Przewrócił oczami, ale kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

Pokręcił jeszcze głową i sięgnął po tackę, na której układał zamówienie. Pachniało bosko, ale moje zamówienie brzmiałoby bardziej jak „wszystko, co zawiera ser”. Nie każdy miał tak wyrafinowane gusta jak ja.

– To idzie na farmę na końcu – oznajmił, podając mi torbę z jedzeniem.

Zamrugałam.

– Którą?

– Na tę największą. Stormhaven Ranch – wyjaśnił.

Czyli zamówienie złożył Neil Prescott. Wielki samotnik, który unikał ludzi tak skutecznie, jak ja unikałam sprzątanía po zmianie. Kiedyś wpadł tu po kawę, ale zamienił z nami dwa słowa. A raczej jedno. Nie, to nawet nie była wymiana słów. Rzucił krótkie „kawa”, odebrał kubek i zniknął szybciej, niż zdążyłam mrugnąć. Facet zagadka.

– Myślisz, że mnie ugryzie? – zapytałam z udawaną powagą.

Czasem żartowaliśmy sobie z Prescotta, że moje gadulstwo by go zabiło, i nazywaliśmy złym wilkiem.

Phil prychnął.

– Raczej zamknie ci drzwi przed nosem, kiedy zaczniesz mówić.

– A to byłoby smutne – westchnęłam teatralnie. – No nic, może uda mi się go rozchmurzyć.

Phil nie wyglądał na przekonanego, ale ja lubiłam wyzwania.

Chwyciłam torbę, poprawiłam koszulkę i ruszyłam ku wyjściu, a dźwięk dzwonka nad drzwiami oznajmił moje pożegnanie.

Gdy tylko wyszłam na zewnątrz, uderzyło mnie ciepłe teksańskie powietrze. Było późne popołudnie, słońce leniwie opadało ku horyzontowi, oblewając wszystko wokół złotą poświatą. Powietrze pachniało latem, ciepłem, które uwielbiałam.

Rzuciłam zamówienie na siedzenie pasażera w moim wysłużonym pickupie, wdrapałam się do środka i odpaliłam silnik. Stary, ale niezawodny wóz zawarczał jak zwykle, bo potrzebował kilku sekund na przemyślenie, czy aby na pewno chce ruszyć. Poklepałam deskę rozdzielczą.

– No dalej, mój żuczku, dasz radę – mruknęłam, uśmiechając się do siebie.

Droga na farmę była długa i prowadziła przez rozległe pola, które o tej porze roku wyglądały jak morze złota. Po obu stronach szutrowej drogi ciągnęły się drewniane płoty, a za nimi pastwiska, na których leniwie pasły się krowy. Niektóre podnosiły głowy, gdy przejeżdżałam obok, bo zakłócałam ich sielankę.

Z głośników leciała jakaś stara piosenka country, a ja, jak zwykle, zaczęłam podśpiewywać pod nosem. W moim życiu nie było

może wielkich fajerwerków, ale to mi wystarczało. Słońce, muzyka i prostota – to było wszystko, czego potrzebowałam do szczęścia.

Po dwudziestu minutach jazdy dotarłam na miejsce. Stormhaven Ranch. Nawet jeśli ktoś nigdy wcześniej tu nie był, od razu wiedział, że trafił na prawdziwą teksańską farmę. Otaczały ją ogromne tereny, nieopodal stały stajnie, a za nimi wielkie silosy. Jednak największe wrażenie robił na mnie dom z werandą, który wyglądał jak wyjęty z dawnych czasów, choć powstał całkiem niedawno.

Jak przez mgłę pamiętałam, że kiedy byłam dzieckiem, wybuchł tu potężny pożar. Przez lata Prescott budował to miejsce, aż w końcu stał się posiadaczem największej farmy w okolicy. Przy najmniej tak mówili w barze.

Zatrzymałam się tuż przy głównym budynku. Zgaśliam silnik, wyskoczyłam z samochodu, po czym chwyciłam torbę z jedzeniem.

Rozejrzałam się dookoła, mając nadzieję dostrzec jakąś znajomą twarz. W oddali, przy jednej z zagród, dostrzegłam kilku mężczyzn zajętych pracą. Westchnęłam i poprawiłam kosmyk włosów, który wysunął mi się z kucyka.

– No dobra, Avery, czas zmierzyć się z wilkiem – powiedziałam sama do siebie i ruszyłam w stronę budynku.

Kiedy wchodziłam na werandę, deski zaskrzypiały mi pod butami. Gdzieś w oddali widać było ślady pazurów, jakby na tej drewnianej konstrukcji walczyły dzikie zwierzęta. Zatrzymałam się przed drzwiami i zapukałam energicznie, licząc, że ktoś w środku usłyszy.

Przez chwilę panowała cisza, potem dobiegł mnie przytłumiony dźwięk przesuwanego krzesła i czyjeś ciężkie kroki. Chwilę później z wnętrza domu padło kilka niewybrednych przekleństw, wypowiedzianych głębokim, szorstkim głosem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, niemal uderzając o ścianę, a w progu stanął mężczyzna, który mógł być bohaterem westernu lub okładki magazynu dla kobiet. Albo jedno i drugie. Cholera... Zaschło mi w gardle.

Gość miał ciemne, lekko zmierzwiowane włosy i krótki, zadbane zarost, który dodawał mu surowości. Był wysoki, dobrze zbudowany, a pod przylegającą do ciała koszulką rysowały się mięśnie. Jednak to jego ciemne, niemal czarne oczy przykuły moją uwagę. I nie dlatego, że spoglądały na mnie z mieszkanką irytacji i nieufności.

Zanim zdążyłam się odezwać, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, a później zatrzymał go na mojej koszulce. Kącik jego ust uniół się w kpiącym uśmiechu.

– Czego? – warknął, opierając się ramieniem o framugę drzwi. Skrzyżował ręce i kolejny raz obrzucił mnie wrogim spojrzeniem.

Przewróciłam oczami, ale uśmiechnęłam się pod nosem. A więc tak się bawimy. Zły pan i niechciany intruz na włościach bogacza.

– Dostarczam jedzenie, panie Prescott – wyjaśniłam z udawaną słodyczą, unosząc torbę z logo „Bee Bistro”.

W rzeczywistości miałam ochotę kopnąć go w kostkę. W kolano. W krocze. Dobra, tak naprawdę miałam ochotę uciec.

Wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych emocji. A już na pewno nie pozytywnych. Po kilku sekundach, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, znowu otworzył usta, ale tym razem nie brzmiał już tak kpiąco.

– Niczego nie zamawiałem, więc radzę ci stąd spadać, chyba że chcesz stać się kolacją dla mojego przyjaciela.

Mężczyzna w progu patrzył na mnie jak na irytującego robaka, a w jego spojrzeniu czała się nieco mroczna energia. Może i wyglądałam jak robak, czy tam inny owad, bo miałam na sobie koszulkę w czarno żółte paski i uśmiechniętą pszczołę na piersi, ale to nie dawało mu prawa, żeby patrzeć na mnie z wyższością. Poza tym pszczoły były przecież pożyteczne. Ja również byłam pożyteczna – wszak dostarczałam jedzenie! A przecież wszyscy lubią jedzenie. Cholera... Ale nie wszyscy lubią pszczoły.

– Zmiałaj stąd! – Moje nerwowe i zupełnie bezsensowne przemyślenia przerwał już nie poirytowany, a rozgniewany głos mężczyzny.

Przełknęłam głośno ślinę, ale nie dałam po sobie poznać strachu.

– Proszę odebrać zamówienie i już mnie nie ma – odpowiedziałam spokojnie.

Mężczyzna nie zareagował, tylko spojrzał na mnie z wyraźną groźbą. Zacisnął pięść, a przenikliwym wzrokiem szukał pewnie oznak strachu, którym mógłby się pożywić.

Może i nie miałam ochoty ryzykować, stając się kolacją jego przyjaciela, kimkolwiek był, ale na pewno nie zamierzałam odejść bez choćby odrobiny godności.

Spojrzałam na kartkę, na której wyraźnie widniał adres tego dupka, po czym bardzo powoli przeniosłam na niego wzrok.

– Zamówienie zostało opłacone i zlecono przywiezienie jedzenia tutaj. Nie obchodzi mnie, czy ten pyszny stek zjesz ty, czy twój przyjaciel ludojad – wycodziłam już mocno zdenerwowana i postawiłam papierową torbę na deskach werandy. – Możesz dać to też świniom czy innym zwierzętom. Ja tylko wykonuję swoją pracę – wygłosiłam jeszcze i odwróciłam się na pięcie. – Do widzenia, Zły Wilku!

Zostawiłam go za sobą, ale w głowie miałam już plan, by udowodnić mu, że nie będę uciekać przed nikim, kto ma odrobinę więcej wzrostu niż ja. Odrobinę dużo. Cholernie dużo...



STORMHAVEN RANCH

ROZDZIAŁ 2

Neil

Spojrzałem na torbę z jedzeniem, którą zostawiła ta dziewczyna. Nie znałem jej, ale czasem widywałem w miasteczku, a kilka razy też w tej przeklętej knajpie, w której pracowała. Wiedziałem tylko, że to córka Blooma. Jej obecność na moim ganku była ostatnią rzeczą, jakiej dziś potrzebowałem i jakiej mógłbym się spodziewać.

Przysunąłem papierową torbę bliżej, zajrzałem do środka i otworzyłem pudełko. Frytki, stek, jakaś zielenina. Nic szczególnego, ale żołądek ścisnął mi się w proteście, domagając się jedzenia. Zignorowałem to.

Chwyciłem pakunek i bez większego namysłu otworzyłem kosz na śmieci. Nie zamawiałem żadnego cholernie pachnącego, domowego żarcia i nie zamierzałem tego zmieniać. Upuściłem paczkę do środka i z przesadną siłą uderzyłem w klapę pojemnika.

Zmarszczyłem brwi, bo zamiast ulgi poczułem coś zupełnie innego – coś irytującego, jak nieznośna mucha krążąca nad uchem. Jak... cholerna pszczoła. Głos tej dziewczyny wciąż odbijał mi się w czaszce. Jej jasne, radosne spojrzenie i ten niezachwiany optymizm, który miała wypisany na ładnej buźce, wgryzły się w moją głowę.

Westchnąłem i potarłem skronie, kiedy mój telefon zawibrował w kieszeni. Spojrzałem na ekran. Przez sekundę rozważałem, czy odebrać, ale wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, za chwilę dostanę drugie, trzecie i czwarte połączenie, aż w końcu moja siostra uzna, że powinna zgłosić moje zaginięcie.

– Tak? – rzuciłem obojętnie, przykładając telefon do ucha.

– Cóż za entuzjazm – westchnęła teatralnie. – Jakbym dzwoniła do urzędu podatkowego, a nie do własnego brata.

– Może dlatego, że dzwonisz do mnie pięć razy w tygodniu, a ja nadal jestem tą samą osobą co wczoraj.

– Wiem, że żyjesz, ale musiałam sprawdzić – odparła, a ja parsknąłem pod nosem.

– Zawiodłaś się?

– Jesteś durniem. Jak tam życie samotnika?

Przetarłem twarz dłonią i spojrzałem w stronę okna, za którym powoli zapadał zmierzch.

– Jak zwykle. Praca i święty spokój.

– Brzmi jak euforia w najczystszej postaci – mruknęła ironicznie. – Wiesz, że są ludzie, którzy wychodzą z domów nie tylko po to, żeby sprawdzić płot na pastwisku?

– Naprawdę? Szokujące odkrycie. Może powinnaś napisać o tym książkę.

Ella parsknęła śmiechem. Była jedną z nielicznych osób, z którymi mogłem tak rozmawiać. Z nikim innym nie pozwalałem sobie na żarty, ale ona była przecież moją siostrą. Miałem tylko ją...

– I tak byś jej nie przeczytał.

– Masz rację.

– A może rzeczywiście byś coś przeczytał, skoro i tak siedzisz w tym swoim ponurym zamczysku?

– Stormhaven to nie żaden ponury zamek.

– Oczywiście. Jest wesołe jak dom pogrzebowy.

Uśmiechnąłem się lekko, choć wiedziałem, że miała rację. Moja farma nie była miejscem, które tętniło życiem, ale nie potrzebowałem ludzi. Wystarczało mi to, co miałem.

– Właściwie dzwoniłam, żeby ci przypomnieć, że w przyszłym tygodniu są targi koni. Może byś się ruszył i pojechał ze mną?

– Nie mam na to ochoty.

– Nie masz ochoty na nic poza pracą. A może... – zawahała się, po czym zmieniła ton. – Może powinienś trochę odpocząć, Neil?

– Nie potrzebuję odpoczynku.

– Każdy potrzebuje.

– Już? – rzuciłem zniecierpliwiony.

– Kiedy w końcu przyznasz, że potrzebujesz miłego towarzystwa? – Nie odpuszczała.

– Mam najmilsze towarzystwo.

– Konie się nie liczą.

– Czego chcesz? – Zignorowałem jej uwagę.

– Zwyczajnie chciałam się dowiedzieć, co u mojego ulubionego brata.

– Jestem twoim jedynym bratem.

– To nie znaczy, że muszę cię lubić.
– Skończyłaś mnie zamęczać?
– Och, Neil – westchnęła ciężko. – Kiedyś mi za to podziękujesz.
Zmarszczyłem brwi.
– Za co?
– Nic, nic! Po prostu... mam nadzieję, że się jakoś socjalizujesz.
– Przecież z tobą rozmawiam. To już jest wystarczająco wyczerpujące.

Roześmiała się, a ja cicho wypuściłem powietrze. Lubilem jej śmiech, nawet jeśli zwykle zapowiadał kłopoty.

– Dobra, nie będę cię męczyć. Na razie.

– Doceniam.

Rozłączyłem się i odetchnąłem. Była uparta jak diabli i czasem działała mi na nerwy, ale nie potrafiłbym się na nią naprawdę złościć.

Odłożyłem telefon na kuchenny blat i sięgnąłem po kapelusz, który wisiał na wieszaku. Wiedziałem, że dopóki nie zajmę czymś rąk, moje myśli będą krążyć wokół tego, co się dzisiaj wydarzyło.

Córka Blooma. Czego szukała? Kto postanowił zrobić żart zarówno mnie, jak i jej, zamawiając żarcie pod mój adres?

Wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem w stronę stajni. Im bliżej byłam budynku, tym bardziej czułem znajome napięcie rozchodzące się po ciele. Gdy tylko otworzyłem wrota, zapach siana i koni uderzył mnie w nozdrza. Konie parskały cicho, stukały kopytami o podłogę, a w półmroku poruszały się sylwetki zwierząt, które znałem lepiej niż ludzi.

Gdzieś w głębi wciąż słyszałem tamten trzask. Czułem gorąco i dym. Widziałem ojca biegnącego przez płomienie. To było dawno, ale za każdym razem, gdy byłem w stajni, moje ciało to sobie przypominało.

Podszedłem do jednego z boksów, w którym stał mój najlepszy ogier – Onyx. Czarne jak noc umaszczenie błyszczało w mdłym świetle lamp, a gdy wyciągnąłem rękę, koń drgnął lekko, wyczuwając mój nastrój.

– Spokojnie, stary – mruknąłem, przesuwając dłonią po jego silnej szyi.

Parsknął i szturchnął mnie nosem w ramię.

– Przynajmniej ty się mnie nie czepiaj.

Zerknąłem w stronę bramy stajni, przez którą wpadało ostatnie światło dnia. Ciemność nadciągała powoli, a wraz z nią napięcie i niepokój. Życie na odludziu miało swoje zalety, ale czasami czułem, że coś obserwuje mnie z mroku.

Naciągnąłem kapelusz na głowę i oparłem się plecami o drewnianą ścianę boksu, po czym osunąłem się po niej i przymknąłem oczy, by zebrać myśli.

Onyx poruszył się i opadł obok, pewnie uznając, że skoro ja się nie ruszam, to on też może odpocząć. Spojrzałem na niego z ukosa, ale nie zdążyłem nic powiedzieć, bo jego masywna głowa spoczęła na moich kolanach.

Parsknąłem pod nosem, czując, jak ciepło końskiego oddechu owiewa moją skórę.

– Nie masz czasem za dobrze? – Przesunąłem dłonią po jego gładkiej sierści, a on poruszył uszami i westchnął ciężko, jakby całe jego życie było jednym wielkim utrapieniem.

Głaskałem go powoli, w skupieniu, próbując odciąć się od wszystkiego, co działo się w mojej głowie. Od irytującego uśmiechu tej małej pszczoły, która zabłąkała się na moim terenie, i głosu, który brzmiał irracjonalnie optymistycznie i zadziornie zarazem. Od mojej siostry, która uparcie próbowała wepchnąć mnie z powrotem do świata, którego nie potrzebowałem. Od wspomnień, które wracały bez ostrzeżenia jak duchy przeszłości.

Zanim jednak zdążyłem całkowicie się uspokoić, na zewnątrz rozległo się głośnie, przenikliwe szczekanie. Zmarszczyłem brwi i podniosłem głowę. Koń nawet nie drgnął, bo prawdopodobnie zdążył się już przyzwyczaić do ujadania stwora, który częściej uprzykrzał mi życie.

– Durny pies – rzuciłem pod nosem, kręcąc głową.

Szczekanie stało się jeszcze głośniejsze.

Westchnąłem ciężko i przesunąłem dłonią po twarzy.

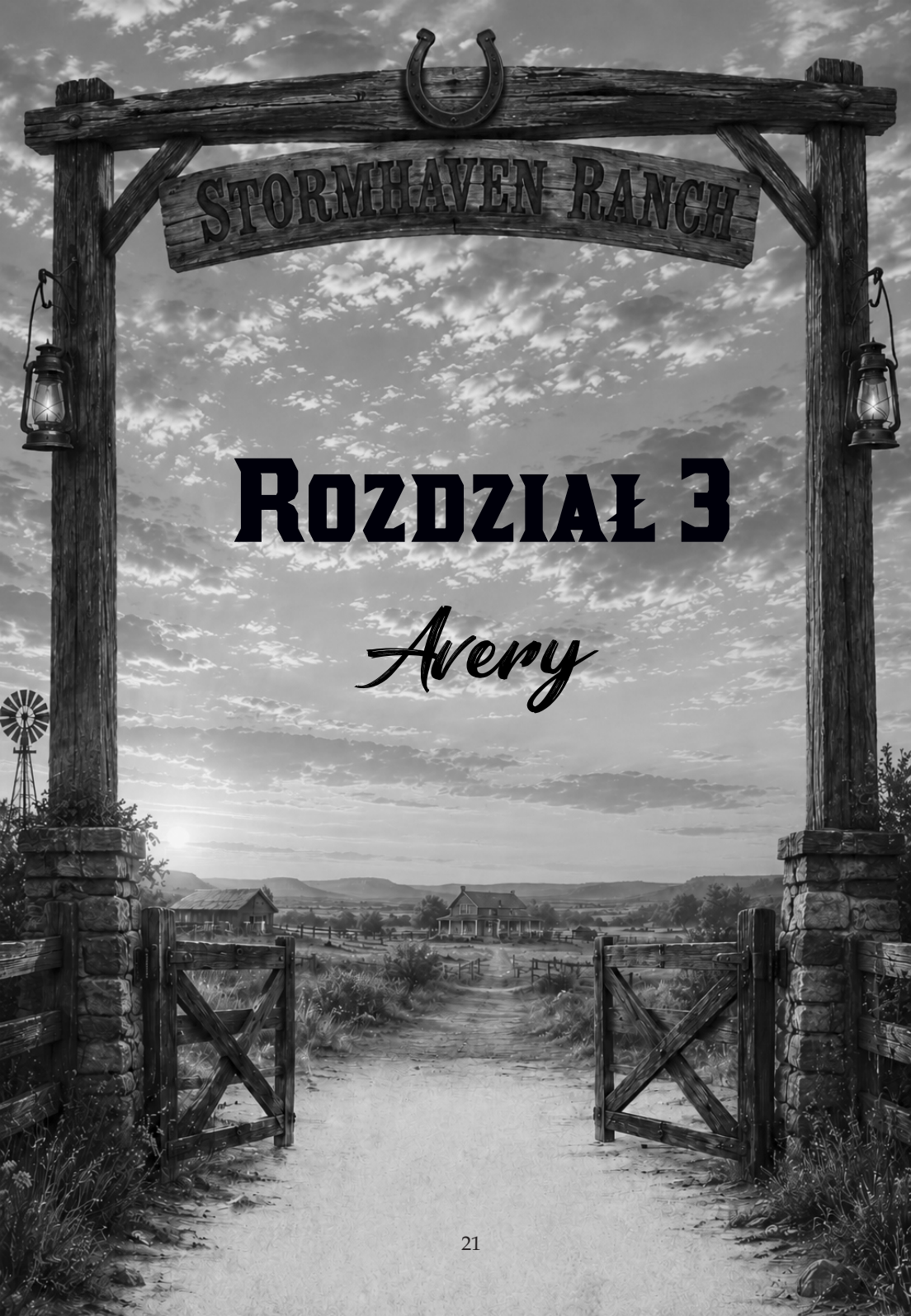
Onyx nie zamierzał wstawać, więc z lekkim wysiłkiem wysunąłem się spod niego i podniosłem się na nogi. Wyszedłem ze stajni, a pies stał przy ogrodzeniu, szczekając w kierunku mroku, który rozciągał się na horyzoncie.

Podszedłem bliżej i oparłem się o drewniany płot.

– Co cię tak poruszyło, wariacie?

Wydobył z siebie niski, groźny pomruk, a ja odniosłem wrażenie, że przed czymś mnie ostrzega. Mój instynkt się wyostrzył, bo sam od jakiegoś czasu czułem nieprzyjemne napięcie.

Coś się zbliżało, ale nie byłem jeszcze w stanie zrozumieć co.

A black and white photograph of a rustic wooden archway entrance to a ranch. The archway is made of weathered wood and has a horseshoe mounted on top. A wooden sign with the words "STORMHAVEN RANCH" is hanging from the arch. Two lanterns are hanging from the sides of the arch. The entrance leads to a dirt road that goes through a gate into a ranch. In the background, there are rolling hills, a large house, and a windmill on the left.

STORMHAVEN RANCH

ROZDZIAŁ 3

Avery

Szorowałam blat za barem, jednocześnie trajkocząc do Mathildy, żony mojego szefa, która akurat robiła porządek w szafkach pod ladą. Była drobną kobietą o przenikliwym spojrzeniu i ciepłym uśmiechu, który zawsze kojarzył mi się z domem. W miasteczku uchodziła za osobę, która wie wszystko o wszystkich, ale w odróżnieniu od reszty lokalnych plotkar nigdy nie używała tej wiedzy przeciwko nikomu.

– No i wyobraź sobie – mówiłam, energicznie wykręcając ścierkę – idę tam, z uśmiechem na twarzy, grzecznie pukam, a on otwiera te swoje wrota piekieł i patrzy na mnie, jakbym mu zarznęła ostatnie cielę.

Mathilda parsknęła śmiechem i uniosła brwi.

– Mówisz o Prescottcie?

– A o kim innym? – Przewróciłam oczami. – Wiem, że to odludek, ale nie spodziewałam się, że potraktuje mnie jak intruza, który wtargnął na jego świętą ziemię. I wiesz, co mi powiedział?

– Nie, ale czuję, że zaraz się dowiem.

Oparłam dłonie o blat i pochyliłam się nad nim. Westchnęłam, zanim zaczęłam mówić dalej, żeby wszystko wyglądało bardziej dramatycznie.

– Że jeśli nie zniknę, to stanę się kolacją jego przyjaciela. Czymkolwiek ten przyjaciel jest, z pewnością nie puszystym pluszakiem.

– Czyli jednak ma poczucie humoru.

– Nie, on raczej ma jakiś problem z kontaktami międzyludzkimi. Bo gdy mu grzecznie powiedziałam, że przywiozłam jedzenie, to wiesz, co zrobił? Patrzył na mnie jak na jakiegoś robaka! Jakbym była upierdliwa, brzęczącą pszczołą! Oświadczył, że niczego nie zamawiał i mam spadać.

Mathilda pokręciła głową, spojrzała na moją czarno-żółtą koszulkę z logo „Bee Bistro” i wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Skarbie, on sobie z ciebie żartował.

– Tak? Bo jego mina mówiła raczej: „zrób jeszcze jeden krok, a zginiesz”.

– Wiesz, w sumie nie dziwię się, że woli trzymać się z daleka od ludzi – mruknęła, wracając do porządkowania szafek.

Westchnęłam ciężko i rzuciłam ścierkę na ladę.

– Za to ja po tym spotkaniu naprawdę rozumiem, dlaczego wszyscy traktują go jak zło konieczne.

Mathilda uśmiechnęła się półgębkiem i spojrzała na mnie znad blatu.

– Nie przejmuj się nim, Avery. Może po prostu miał zły dzień.

– On wygląda, jakby miał zły dzień od urodzenia – mruknęłam.

– Ludzie mówią różne rzeczy o Prescottcie, ale mało kto naprawdę go zna.

– A ty go znasz?

– Nie bardziej niż reszta miasteczka – przyznała. – Wiem tyle, że trzyma się na uboczu i nie szuka towarzystwa.

– No cóż, przynajmniej to się zgadza.

Zamierzałam jeszcze coś dodać, ale w tym momencie podniosła głowę i zmrużyła oczy.

– A skoro już jesteśmy przy oczywistych rzeczach... Jak tam twoje studia, skarbie?

Wzięłam głęboki wdech i oparłam się biodrem o ladę.

– W porządku. Trochę ciężko pogodzić je z pracą, ale daję radę.

– A mama?

Jej głos złagodniał, a ja uniosłam kącik ust w lekkim uśmiechu.

– Ma się dobrze. Ostatnio zaczęła pracę w nowym miejscu.

Mathilda skinęła głową z zadowoleniem.

– Cieszę się. Twoja mama to dobra kobieta. A ty jesteś uparta jak twój ojciec.

Jej słowa sprawiły, że na moment zamilkłam. Mathilda знаła mego tatę, całe miasteczko go znało, i mówiła o nim z ogromnym ciepłem i szacunkiem.

– Dzięki – powiedziałam cicho, po czym próbowałam przybrać lżejszy ton i zmieniłam temat. A raczej powróciłam do poprzedniego: – To może dasz mi podwyżkę za odwagę? W końcu mało kto ma w sobie tyle determinacji, by stawić czoła Prescottowi.

Mathilda zaśmiała się i pokręciła głową.

– Nieźle kombinujesz, ale nie ze mną te numery.

Miałam zamiar kontynuować swoją tyradę na temat ponurego gbura i wytoczyć jakieś ciężkie argumenty, żeby tę podwyżkę jednak dostać, ale w tym momencie do knajpy weszła kobieta o pięknych oczach i pewnym kroku.

Miała jasne włosy, ciepły uśmiech i promieniowała energią, która wypełniła całe wnętrze „Bee Bistro”. Miałam wrażenie, że ktoś nagle zapalił dodatkowe lampy.

– Dzień dobry – przywitała się z uśmiechem, podchodząc do baru.

Mathilda, jak to Mathilda, od razu obdarzyła ją ciepłym spojrzeniem.

– Dzień dobry, kochanie. W czym mogę pomóc?

– Chciałabym zamówić coś z dostawą na farmę na obrzeżach Ashby – odparła kobieta. – Coś prostego, ale pożywnego. Macie może pieczeń wołową z ziemniakami?

– Oczywiście, że mamy – przytaknęła moja koleżanka, sięgając po notes.

Ja natomiast zastygłam w bezruchu.

– Chwileczkę – wtrąciłam, marszcząc czoło. – Jaką farmę na obrzeżach?

Blondynka spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem.

– Stormhaven Ranch.

Mathilda oderwała wzrok od notesu, a ze mnie odrobinę zeszło powietrze.

– Och – wydusiłam. – To... To Prescott... A ostatnim razem coś zamawiał? Zdawał się...

– Nie – przerwała mi. – Ale musi coś jeść. Ten dureń nie dba w ogóle o regularne posiłki – odparła.

Spojrzałam na Mathildę, jakbym szukała u niej ratunku, ale ta tylko uniosła brwi w rozbawieniu.

– Coś nie tak? – zapytała kobieta, przechylając głowę.

– Po prostu... – westchnęłam. – Ja dostarczam jedzenie.

– Wiem – stwierdziła, jakbym miała na czole wielki znak, informujący, że jestem dostawcą żarcia.

– Ale ja nie jestem pewna, czy będę mile widziana, jak znów się tam pojawię.

Kobieta uśmiechnęła się lekko, a w jej oczach zatańczyły iskiereki rozbawienia.

– Nie przejmuj się nim. On tylko wygląda jak seryjny morderca.

– A co, jeśli nie tylko wygląda?

Jej śmiech był dźwięczny i szczery.

– Spokojnie. Jeśli by cię zamordował, to miałby ze mną do czynienia.

Nie wiem, czy to miało mnie pocieszyć, ale kolejny już raz westchnęłam i sięgnęłam po notes, który trzymała Mathilda.

– No dobra, pieczeń wołowa. Coś jeszcze?

– Nie, to wystarczy. Dzięki.

Poszłam na zaplecze, by przekazać zamówienie do kuchni, a w głowie już układałam sobie strategię na kolejną wizytę na Stormhaven Ranch. Może tym razem powinnam przywdziać kamizelkę kuloodporną? Albo najpierw odprawić jakieś egzorcyzmy?

Wszystko było gotowe w błyskawicznym tempie. Gdy poszłam do kuchni, Mathilda pakowała pieczeń wołową do torby termicznej. Rzuciła mi znaczące spojrzenie, bo na pewno doskonale wiedziała, co mi chodzi po głowie.

– Dasz radę, Avery – rzekła z uśmiechem. – To tylko dostawa.

– Tylko dostawa – powtórzyłam, zakładając torbę na ramię. – Tylko dostawa do miejsca, gdzie mieszka ponury samotnik, który ma alergię na ludzi.

– Może tym razem będzie miłszy.

– Albo mnie pogoni z widłami – mruknęłam.

Mathilda roześmiała się, a blondynka, która złożyła zamówienie, spojrzała na mnie z rozbawieniem.

– Obiecuję, że jeśli coś ci zrobi, to osobiście mu dokopię – zapewniła.

– To bardzo pocieszające.

Ruszyłam w stronę wyjścia. Dlaczego sama nie zawiozła mu jedzenia, skoro i tak siedziała w barze?

Słońce zwisało nisko nad horyzontem, rzucając długie cienie na asfalt. Wsiadłam do starej furgonetki i odpaliłam silnik. Miałam nadzieję, że ta kobieta szybko zrezygnuje z prób dokarmiania gburą, bo wywnioskowałam, że wczorajsze zamówienie również musiała złożyć ona.

Droga na Stormhaven Ranch strasznie się dłużyła. To na pewno los postanowił dać mi szansę, by się oswoić z myślą, że dziś zostanie nabita na pal.

Gdy dotarłam do bramy, zwolniłam i rzuciłam szybkie spojrzenie w stronę domu. Nic się nie zmieniło od mojej ostatniej wizyty. Wokół panował spokój. Wzięłam głęboki oddech. *To tylko dostawa*, powtórzyłam w myślach. *Wejdź, oddaj torbę, wyjdź. Proste.*

Schody na werandę znów zaskrzypiały pod moim ciężarem, ale to nie one sprawiły, że serce podskoczyło mi do gardła. To było warczenie.

Zastygłam w bezruchu, a potem powoli spojrzałam w lewo. Na skraju werandy, częściowo ukryty w cieniu, stał ogromny czarny potwór. Nie od razu go zauważyłam, bo wyglądał jak posąg. Tylko jego przerażające oczy błyszczały z daleka.

– O nie – szepnęłam, ściskając torbę z jedzeniem. – Tylko nie to.

Pies przekrzywił łeb, a ja już wiedziałam, że zastanawiał się, czy jestem wystarczająco dużym zagrożeniem, by na mnie skoczyć. A może bardziej, czy nadaje się na przystawkę. Dania głównego nie mogłam stanowić, bo ta bestia z pewnością pochłaniała całe krowy i nadal była głodna.

– Dobry piesek... – zaczęłam cicho, ale przerwałam, gdy zwierzę wydało z siebie niski pomruk.

Przełknęłam ślinę i powoli cofnęłam się o krok. To był moment, w którym powinnam po prostu uciec, ale miałam raczej marne szanse.

Zanim zdążyłam podjąć decyzję, drzwi otworzyły się z hukiem. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Prescottta.

– Znowu ty? – Jego głos i tym razem był szorstki i poirytowany.

– Cześć – wydusiłam, unosząc torbę. – Masz dostawę.

Zmarszczył brwi i spojrzał tak, jakbym oznajmiła, że zamierzam się tu wprowadzić na stałe.

– Niczego nie zamawiałem – wycedził.

– No cóż, ktoś zamówił.

Prescott westchnął ciężko i zerknął na psa, który nadal wlepił we mnie głodne spojrzenie.

– Puszek, zmiataj stąd.

Mrugnęłam. A później jeszcze raz i kolejny. Przesłyszałam się. Na pewno się przesłyszałam.

– Pu... Pusz... P-Puszek? – wydusiłam.

– Widać, że nie czytasz książek – prychnął z pogardą.

Pies spojrzał na swojego pana, a potem kichnął, odwrócił się i odszedł na bok. Wciąż jednak pozostawał na werandzie, która musiała otaczać większą część domu.

Prescott przeniósł wzrok z powrotem na mnie.

– Po co znowu tu przyjechałaś?

– Nie wiem, może po to, żeby dać ci pieczeń, zanim twój pies zdecyduje, że to ja mam się nią stać?

Uniósł brew, a potem bez słowa wziął ode mnie torbę. Postawił ją na podłodze i odsunął nogą z obrzydzoną miną. Na Boga! Nie schowałam tam przecież pieczonych szczurów, tylko wołowinę!

– W porządku. A teraz spadaj.

Zacisnęłam usta, ale nie ruszyłam się z miejsca.

– A jakieś „dziękuję”?

Patrzył na mnie przez chwilę, jakbym mówiła do niego w starożytnym chińskim, po czym uśmiechnął się kpiąco.

– Nie.

Odwrócił się i wszedł do domu. Trzasnął przy okazji drzwiami, a jedzenie zostawił na deskach werandy. Patrzyłam na drzwi przez kilka sekund, zanim prychnęłam pod nosem.

– Ty chamie.

Ogromny pies, który cały czas stał na skraju werandy, znów na mnie spojrzał, ale tym razem nie jak na łakomy kąsek, lecz ze zrozumieniem. Na pewno chciał przyznać mi rację w kwestii chamstwa gospodarza.

Odwróciłam się i zeszłam po schodach, mamrocząc pod nosem coś o bucach i nieuprzejmych odludkach. Zarzekałam się, że więcej tu nie przyjadę, ale w głębi duszy wiedziałam, że pewnie jeszcze tu wrócę.

I wtedy wpadłam na pomysł – w moim mniemaniu genialny.